

Michał Paweł Markowski: Przeciwno nierozstrzygalności

Według mojej oceny **przedłożona dysertacja pana magistra Jakuba Orzeszka ze sporym nadmiarem spełnia wszystkie wymagania stawiane rozprawom doktorskim i pozwala dopuścić autora do kolejnych etapów przewodu doktorskiego**. Zaczynam od końca, żeby czym prędzej uczynić zadość wymaganej formule, oczyścić pole konwencji i od razu przejść do części najważniejszej, czyli sprawozdania z uważnej lektury samej rozprawy. Spieszę się, bo jest o czym mówić.

1

Recenzowana rozprawa doktorska – zebrane „szkice o erotycznych i żalobnych ciałach Schulza” [20] – jest bowiem, by użyć słów Jakuba Orzeszka zaaplikowanych do jednej z prac Władysława Panasa, „równie inspirująca co frapująca” [217], albo też – znów słowa Orzeszka o czym innym – jest „jednym z tych dzieł, które dążąc do ideału Pełni, obywatelnione poczuciem odpowiedzialności i fantazmatem Prawdy, bezustannie oddalają termin swojej realizacji” [234]. Te dwa cytaty z doktoratu pokazują, że kiedy Orzeszek pisze o innych tekstach, to jednocześnie – jak każdy pisarz – pisze o sobie. Z samej zasady nie czynię tu żadnego zarzutu, wręcz przeciwnie, chwalę talent. Przełożywszy na polski zarówno *Śmierć autora* Barthes’a, jak i *Sobąpisanie* Foucaulta, obstaraję nieustannie przy tym drugim. *L'écriture de soi* jednak zobowiązuje, i to zobowiązuje mocno, postaram się więc bezceremonialnie podglądnać pana Orzeszka, jego piszące ego (a także jego superego oraz id), przy pracy. Podglądactwo jest w świecie Schulza, jak przekonująco dowiódł Orzeszek, nie tylko całkowicie usprawiedliwione, ale i nieuchronne, postaram się więc schulzologów nie zawieść.

2

Chciałoby się powiedzieć, że zasługą Orzeszka jest położenie fundamentów pod schulzowską erotanatografię, ale się tego tutaj nie powie. Dyskurs pana Orzeszka nie ma w sobie nic założycielskiego, gdyż jest od początku do końca, jak by powiedział Gombrowicz, „ze szczypty”,

sobąpisanie
o Schulzu

erotanatografia (prawie)

z „cząstki”, albo też, jak u Benjamina, mikrologiczny. Orzeszek mógłby być uczniem Nawareckiego, ale jest uczniem Rośka, i to nie bez powodu. Jak jego Mistrz, ogląda przez lupę dukt pisma pisarza, mierzy rysunki („Czaszka ma średnicę około trzech centymetrów” [212]), porównuje rewers z awersem, pilnie indeksuje dzieło Schulza [23–49] i najchętniej byłby krytykiem genetycznym, gdyby tylko Schulz mu na to pozwolił. Jest niewątpliwie utalentowanym „tropicielem śladów” [53], który żadnej oznace nie przepuści. Niestety, archiwum jest skąpe, mamy tylko kilka zachowanych rękopisów i trzeba na własną rękę prowadzić tekstualne śledztwo, które ograniczyć się musi do tego, co wszyscy widzą, ale niedokładnie. Orzeszek robi to znakomicie, zawstydzając znacznie bardziej doświadczonych badaczy. Zgrabnie pokazuje swój empiryczny warsztat, ufundowany na zaufaniu do materii, z której zrobione są archiwa: do papieru, tuszu, grafitu, farby drukarskiej, ciężaru i rozmiaru. Jego rozprawa jest „niedokończoną pracą żałobną” [238], która zaczyna się od drobiazgu, odrobiny i na odrobinie się kończy, albowiem żal nad utratą nie Schulza, lecz schulzowskiego archiwum nie da się, niestety, przemienić w radość syntezy ani w radość odkrywcy zagubionych manuskryptów. Jest więc to dyskurs radykalnie „trochę-iczny”, bo wszystkiego jest w nim „trochę”: trochę „drobnych obrazków”, „trochę ilustracji” [271], trochę wskazówek w tekście, ale przede wszystkim „trochę cielesnej powłoki”. To ostatnie określenie biorę od cytowanego przez Orzeszka Schulza, ale stosuję do jego dyskursu. Tytułowe „dwa ciała” Schulza to – jak u Kantorowicza – ciało fizyczne i ciało metafizyczne, co się przekłada na ciało przedstawione w tekstach (fizycznego niestety nie znamy, by tak rzec, z pierwszej ręki) i ciało z krypty, złożone w ludzkiej pamięci, przerobione na „legendę pośmiertną” [241]. W obu wypadkach to właśnie „trochę cielesnej powłoki”, z której trzeba jakoś poskładać całość. Ale całości poskładać się nie da i dlatego Orzeszek roztropnie ogranicza się jedynie do „rozpoznania i nazwania kilku węzłów problemowych, co do których będzie musiała się ustosunkować przyszła nekrografia Schulza” [242]. Jego praca to nadszycie wartościowe prolegomena do przyszłej syntezy, jeśli kiedykolwiek ktoś się jej podejmie.

3

N i e c h y b n ą zaletą rozprawy pana Orzeszka jest to, że nie ściemnia, bo wie, że i tak jest już bardzo ciemno i świadectw tekstowych, za pomocą których można by ułożyć spójną książkę o erotyce i śmierci (u) Schulza, jest jak na lekarstwo (w przeciwieństwie do „niezliczonych” „śladów żałoby po Schulzu” [261]). Ale i tak bierze zacytowane – *nomen*

rozprawa
żałobna, ale
nie z żałobą

omen – na śmierć kawałki i układa je z rozkoszą na nowo, choć bez ambicji scalenia, stąd – co sam autor przyznaje – rozprawa jest składanką złożoną z różnych puzzli.

B e z s p r z e c z n i e najlepsze w całej rozprawie, poza skrupulatnym indeksem części ciała (szkoda tylko, że ten indeks dotyczy jedynie *Sklepów cynamonowych*, bo kapitalne znaczenie miałyby porównanie go z indeksem do *Sanatorium*), są według mnie rozdziały o kobietach: Adeli i matce. Z d e c y d o w a n i e najciekawsze z tego, co o nich dotąd napisano. Trafnie także Orzeszek odrzuca zarzuty o pornografię kierowane w stronę Schulza, aczkolwiek za mało tu osadzenia jego pisarstwa i grafiki w pornograficznym kontekście kultury drobnomieszczańskiej, do której Schulz należał, i choć Orzeszek sam przywołuje, à propos Adeli, „mieszczkańską powieść *fin de siècle'u*” [54], to jednak pomost między Schulzem i *la petite bourgeoisie* nadal pozostaje do zbudowania. Znalazłem zresztą u Orzeszka bardzo mało z tego, co mnie teraz u Schulza interesuje najbardziej, a mianowicie politycznych kontekstów jego twórczości, ale z tego zarzutu robić nie mogę. Nie jest zadaniem doktoranta spełniać życzenia recenzentów. Orzeszek pisze wyraźnie: „nie chcę [...] pisać o polityce i literaturze” [224]. Nie zgadzam się z tą niechęcią (bo erotyka jest także polityczna), ale ją respektuję.

4

Orzeszek z p e w n o ś c i ą umie pisać i z tej umiejętności czerpie niemałe zadowolenie. Z rozmysłem wprowadza sam siebie na scenę pisania („mam trzydzieści lat, jest przed północą, za oknem jedzie ciężarówka czyszcząca ulicę” [146]), bo z pisania o Schulzu czyni sprawę osobistą, co umieszczam na pierwszym miejscu pochwał. Nie jest to rozprawa na stopień (to także oczywiście), lecz przede wszystkim „ćwiczenie egzystencjalne”. Obrazy Schulza „nie dają mu spokoju” [194], a na rysunki Schulza „spogląda z nadzieją”, że między nim i nimi „zawijuje się relacja”. O tym, że relacja się zawijuje i dochodzi do osmotycznego transferu wyobraźni między Schulzem i Orzeszkim, ten ostatni nie waha się nam przypomnieć.

„Wincenty śpi w drugim pokoju. Minął prawie rok od jego narodzin. Gdy budzi się w nocy, gwałtownie płacze. Myślę, że w momencie przebudzenia wie coś, co dopiero później stopniowo się w nas zaciera – noc, która go otacza, jest obca. I że czuje się wtedy bardzo samotny, opuszczony. Uspokaja się dopiero przy piersi Moniki. Czasem, w chwilach silnego zmęczenia, oglądam zdjęcia USG. Wyciągam je teraz. Twarz majacząca w biało-czarnych, pulsujących plamach. Migotanie ciała, które nie zna swoich granic” [193].

Niby o sobie pisze Orzeszek i o swojej rodzinie (już niewinnemu dziecku zawiązując konflikt edypalny: ojciec pisze, matka tuli), a jednak ten auto-prezentacyjny kawałek cały jest utkany z Schulzowskich obrazów i słów (obca noc, pulsowanie), jakby piszący już nie wiedział, czy to on, czy to jego bohater mówi. Orzeszek nie jest na szczęście – by zacytować Schulza – „rozanielony do ekstazy” ani nie „przechyla się z afektacją na wszystkie strony”, ale daleki jest także od akademickiej powściągliwości i bezosobowości. Zresztą nic dziwnego: w mieście Schopenhauera trudno jest brać na serio Heglowskie abstrakcje. Tak więc Orzeszka poruszają detale i niedoróbki, szkice i drobiazgi, jakby ten minimalistyczny fetyszizm był jedynym lekarstwem na uwolnienie pisarza z morderczego uścisku krytyki. Kto wie, może do metody Orzeszka dałoby się nawet zastosować określenie, które on sam – za jednym z francuskich krytyków – stosuje do Schulza: „dysydencki, antyakademicki potencjał niskiego materializmu” [12]? Wówczas zrozumiałaby stałaby się niechęć autora do „wszystkich ontologicznych więzień” [13]. Uderzają bowiem Orzeszka (a raczej „dziurawią”, jak Barthesowskie *puncta*) Schulzowskie „kapcie w paski”¹, Adeli „pudełko ze wstążkami” [54] i „kłapanie pantofelków” [51]. Gdybym miał zaproponować jakąś hipotezę objaśniającą tę metodę, zdałbym się chyba na samego Orzeszka, który o Józefie/Brunonie pisał, że jego „typowo fetyszystyczne” spojrzenie przemienia „kobiece ciało w przedmiot pożądania, w zbiór jego zreifikowanych części i substytutów, które zyskują status autonomicznych ikon”. I dodaje: „Józef czerpie rozkosz z samego aktu patrzenia. Jego opowieści o kobiecych ciałach są historiami oka, a nie historiami dotyku” [58]. To bardzo trafne (dowodzi tego hasło „oczy”, najobszerniejsze w indeksie, z którym pod względem rozmiaru konkurować mogą tylko „nogi”) i nie dość przez krytykę podkreślane. Jest to jednak zarazem równie trafna definicja mikrologii jako metody „zdystansowanej i okulocentrycznej” [58], kawałkującej pożądane ciało tekstu na „autonomiczne ikony”, indeksującej je, rozpraszaającej, w obawie przed scaleniem, które byłoby zbyt intensywne, zbyt wymagające. W tym sensie centralnym rozdziałem w książce Orzeszka jest indeks części ciał i wydzielin, sporządzony do *Sklepów cynamonowych*. I nic dziwnego, że rozprawa pełna jest spekulacji. „Spekulujmy jednak”, zachęca sam siebie Orzeszek w rozdziale *Schulz jako pornograf. Spojrzenia/spekulacje*, zmyślnie odsyłając do etymologii słowa „spekulacja”, pochodzącego od czasownika *specio*, czyli „patrzę”. Słowo *specula* (w rodzaju żeńskim) oznaczało pierwotnie punkt obserwacyjny wyniesiony p o n a d obserwowaną rzeczywistość, „a high

w mieście
Schopenhauera

okulocen-
tryczne
kawałkowanie
tekstu

„spekulujmy
jednak”

1 Według mojej oceny nie są to wcale „kapcie”, lecz bardzo szykowne, skórzane pantofle domowe typu „opera”, prawdopodobnie na gumowej podeszwie.

place from which to look out, a *look-out*, *watch-tower*”, jak podają Lewis and Short². Ale drugie znaczenie słowa *specula* to „slight hope”, co tłumaczyłbym najchętniej jako „krucha nadzieja”. Bo u Orzeszka spekulacja ciągle wiąże się właśnie z kruchą nadzieją. „Spoglądam też z nadzieją – słabą co prawda i może naiwną, choć przecież dość powszechną – że w akcie patrzenia jest jakiś rodzaj zdarzeniowości” [146].

5

Nie mam wątpliwości: Orzeszek jest subtelnym czytelnikiem i wyczytuje z Schulza – jego obydwu, splątanych ze sobą ciał – coś, z czego zdawaliśmy sobie sprawę, ale chyba nie do końca: *kruch ość* Schulzowskiego świata [275]. To ogromna zaleta recenzowanej pracy, a jednocześnie – na całkiem innym poziomie – jej fundamentalna, *nomen omen*, słabość. Tak jak nad ulicą Krokodyli unosił się „leniwy i rozwiązyły fluid grzechu”, tak nad rozprawą pana Orzeszka unosi się cały czas „gest zaniechania, niedomknięcia, cofnięcia się przed ostatecznością sądów, zdarzeń i form” [275], „gest zaniechania, powstrzymania się” [154]. Bo tak naprawdę mniej jest to rozprawa o Schulzu, więcej zaś o tym, jak Schulza czytać, wyklądać, interpretować. Rozprawa pana Orzeszka jest bardzo mocnym wyznaniem bardzo słabego podmiotu interpretacyjnego i z tego powodu jest w polskim literaturoznawstwie ewenementem. Kim jest słaby podmiot interpretacyjny? Kimś, kto ma więcej pytań niż odpowiedzi, kto się waha, i komu się dużo rzeczy wydaje. Otóż Orzeszkowi coś się wydaje mniej więcej 46 razy, słowo „zapewne” pojawia się 20 razy, a „chyba” – 63 razy. A ile razy zdanie kończy się znakiem zapytania? Po setnym pytajniku, gdzieś w połowie książki, przestałem liczyć. Dla porównania „na pewno” pojawia się w całej rozprawie tylko 14 razy. W przeciwieństwie do Józefa Olejniczaka, który, jak czytamy na stronie 7 rozprawy, „nie ma wątpliwości”, Orzeszek wątpliwości ma, i to spore. Właściwie na każdy temat. „Może”, „zapewne”, „kto wie”, „niewykluczone” – to zwykła w jego wypadku seria zastrzeżeń, na których zbudowana jest strategia interpretacyjnej niekonkluzywności.

6

Weźmy taką sekwencję, z samego początku rozprawy. Po opisie porodu z *Unduli*, przypisywanej Schulzowi (tu ja mam wątpliwości, czy

wadliwa
zaleta

co słyhać
w meta-
tekście?

2 Zob. <https://www.perseus.tufts.edu/hopper/morph?l=specula&la=la&can=specula0#lexicon>

rzeczywiście Weron to Schulz, ale to inna para kaloszy), Orzeszek pisze: „Teratologiczna scena. Ale właściwie co to za poród? Które ciało tu rodzi, a które jest rodzone? Które jest pierwsze, a które drugie? Które podtrzymuje, a które jest podtrzymywane?” [9]. Odpowiedzi na te skądinąd ważne pytania nie padają, a moim zdaniem powinny, choć doskonale zdają sobie sprawę, że tekst Marcelego Werona, szczyt dekadencej grafomanii, niczego nie ułatwia. A jednak interpretator, tak uważam, nie jest od zadawania pytań, ale od dawania odpowiedzi. Orzeszek tymczasem uparcie przy każdej okazji powtarza: „Nie potrafię odpowiedzieć na te pytania” [232], „nie wiem” [240].

Gdyby interpretacja miała jedynie powtarzać niejasności tekstu, komu tak naprawdę byłaby potrzebna? Interpretator ma do odegrania ważną rolę społeczną: pisze dla kogoś, ktoś go czyta, bo sam nie umie odpowiedzieć sobie na pytania, które stawia, jeśli w ogóle na aż tak wysoki pułap, jak zadanie tekstowi pytania, się wzniesie. Oczywiście, za swoje uproszczenia interpretator płaci wysoką cenę, ale tak przecież jest: umysł upraszcza życie i trzeba się z tym pogodzić, interpretacja jest bowiem – jak przekonywał Nietzsche – sposobem bycia, a nie poznania, „abrewiatura” zaś, słowo łączące Nietzschego z Schulzem³, jest niezbędnym instrumentem układania się ze światem. Uproszczenie wszelako uproszczeniu nierówne i dlatego jednych interpretatorów czytamy, innych mniej, a jeszcze innych wcale. Dlatego Orzeszek jest najlepszy tam, gdzie trzyma się kurzu albo humusu, pantofelka albo lusterka, gdzie rekonstruuje cierpliwie fałszywe palimpsesty, gdzie wykonuje rzetelną robotę filologiczną, jak na przykład tam, gdzie odkrywa erotyzm u Schulza w miejscach, gdzieśmy go wszyscy przeoczyli. Tam jednak, gdzie daje upust swojej czułości, tęskniąc za „etyką słabości” [13], tam nie znajduje we mnie zwolennika, choć rozumiem jego motywy.

cennik
koniecznych
uproszczeń

7

Czy istnieje taki zwierz jak c z u ł y i n t e r p r e t a t o r?

„Matka w prozie Schulza istnieje po stronie bytów literackich słabych, delikatnych, nie-znaczących. Jest w moim zdaniu gest bezradności. Ale też przekonanie, że wobec postaci matki konieczna jest postawa słabości. Podobnie jak wobec zmarłych, którzy padają ofiarą naszych zawłaszczeń. Żadnych kategoriycznych, krzykliwych stwierdzeń” [191].

3 Por. „Czas upływał nie liczony, tworząc dziwne węzły, abrewiatury w swym upływie” (*Mój ojciec wstępuje do strażaków*).

Pierwsze zdanie jest superważne, bo odwraca naszą recepcję matki w prozie Schulza i za to panu Orzeszkowi chwała, bo sam Matkę umieścił po stronie bytów mocnych, prozaicznych. Ale potem, po wyznaniu własnej bezradności, autor idzie dalej i daje wskazówkę natury ogólnej: „wobec postaci matki konieczna jest postawa słabości”. Otóż bynajmniej! Nie da się nie zawłaszczać, gdy się interpretuje. Po prostu nie da. Jak mówią Portorykańczycy, albo pomarańcze, albo cytryny. Słaby podmiot, wsparty na – określenie Orzeszka – „miękkim humanizmie” [13], podmiot, który wyraża swoją interpretacyjną bezradność, nie powinien, moim zdaniem, zabierać się do interpretacji, bo – jak by powiedzieli bracia Coen – interpretacja to nie jest kraj dla słabych podmiotów. Nie ma to nic wspólnego z przemocą, gwałtem, chamstwem, niedelikatnością czy krzykliwą męśplikacją. Rozumiem doskonale, że w tle tej „słabującej” postawy jest Schulz, który z jednej strony przekonuje, że każde wielkie dzieło, jak na przykład *Proces* Kafki, jest „wieloznaczne, niezgruntowane, przez żadne interpretacje niewyczerpane”, z drugiej strony zaś ucieka w popłochu (a raczej robi to w jego zastępstwie Józef w *Sanatorium*) przed człowiekiem-psem, który okazuje się „krzykaczem”. Z tego utajonego zestawienia wynika, że kto zechce wyczerpać znaczenia jakiegoś tekstu, musi być autorem „kategorycznych, krzykliwych stwierdzeń”. Otóż na taką właśnie opozycję interpretator nie powinien się zgadzać: że jeśli zechce coś powiedzieć do końca, to będzie krzykaczem, „mową wiecowym i partyjnikiem”. To, że interpretator zauważy w tekście „istnienie graniczne i słabe, zagrożone nicością i niejednokrotnie osuwające się w niebyt” [198], nie oznacza, że on sam ma się takim istnieniem stać, podobnie jak ktoś, kto opisuje antysemickie pogromy, żeby je zrozumieć, nie jest za nie odpowiedzialny ani ich nie popiera.

Dla Orzeszka czułość „jest [...] trybem patrzenia, które widzi delikatność żywego, jego niekompletność, ontologiczną chwiejność, gotowość, by w każdej chwili ulec rozproszeniu, zwinąć się – zupełnie bez uzasadnienia” [156]. Tak rozumiana czułość to rezygnacja z istnienia, albo nawet możliwość odwołania istnienia. Jest apologią r o z p r o s z e n i a. W pewnym momencie Jakub Orzeszek wyznaje: „Od chwili, gdy zacząłem pisać ten tekst, minęło kilka miesięcy. Oddalałem się od niego parokrotnie i wracałem z przeczuciem, że kolejna notatka może coś zmienić, bo odpowiednim sposobem bycia dla tego tematu jest właśnie mnożenie, rozpraszanie, otwieranie nowych sensów, a nie zamykanie [...]” [192].

Czy tematy mają odpowiadające im „sposoby bycia”? Chciałem powiedzieć, że wątpię, ale się natychmiast poprawiam: jestem pewien, że nie. Nic bardziej zgubnego niż przekonanie o takim formalnym mimetyzmie, który nakazywałby krytykowi postępować tak, jak sugeruje autor w swoim tekście. Każdy, nawet nieczytający rozprawki *Traum und*

albo
pomarańcze,
albo cytryny

mocna
interpretacja
nie czyni
krzykaczem

Melancholie terapeuta powie, że żałoba domaga się „zamknięcia”, dzięki któremu będzie dopiero możliwa reinwestycja emocjonalna i powrót do zrównoważonego libido. Interpretacja oznacza, że żałoba została z sukcesem zakończona, że interpretator nabrał dystansu do utraconego tekstu, że odciął się już od pępowiny, która go z nim łączyła. I odwrotnie: dopóki czytelnik trwa w żałobie, niweczy szansę na interpretację. Czułość jako pragnienie rozproszenia i interpretacja jako pragnienie scalenia wzajemnie się wykluczają.

8

Kolejne ogniwa nieodmknęcia:

„A zatem po raz kolejny – fragment, przyczynek, nieodmknęcie. I tak już chyba zostanie” [226].

„Tekst, który piszę [...] nie prowadzi do żadnego rozwiązania. [...]. Jest raczej zbiorem pytań, na które nie udziela odpowiedzi, a także przeglądem figur, metafor i symboli, które niekoniecznie się dopełniają. Tak myślę teraz, gdy ponownie próbuję je uporządkować. Ale czy można było oczekiwać innego podsumowania?” [222]

Otóż właśnie, że tak! Jako czytelnik wymagający oczekuję, ba! – d o m a g a m s i ę od Jakuba Orzeszka podsumowania i rozwiązania, odpowiedzi na zadane pytania. Dwieście odpowiedzi na dwieście pytań. Interpretator nie może stanąć przed tekstem zacukany, słaby i nieśmiały, interpretator musi się za czymś stanowczo opowiedzieć, bo tego właśnie oczekuje czytelnik. Jako czytelnik chcę wiedzieć, czy Józef jest „czułym narratorem swojego świata”, czy raczej „władcą spojrzenia” [140], bo od tego będzie zależała moja dalsza lektura. Chcę wiedzieć „na pewno”, czy Schulz dokonuje „przewartościowania matrycy patriarchy” [139], czy raczej ją paradoksalnie utwierdza? Takich odpowiedzi jako czytelnik oczekuję od każdego interpretatora, bo na tym właśnie polega jego misja i rola, nawet jeśli będzie przeginał i naciągał. Bo interpretacja jest naciąganiem, ale takim, które może zostać zakwestionowane na podstawie tekstu. Schulzowska kołdra jest bardzo krótka, każdy – by użyć ryzykownego skrótu – ciągnie, jak chce, ale nie jest tak, że nie panują tu żadne reguły i nie da się powiedzieć „sprawdzam!”. I tu, przy tym pokerowym stoliku literaturoznawstwa, Orzeszek nagle budzi się ze swojej fantazji rozproszenia. Kiedy dochodzi do oceny innych, Orzeszek nagle wie, co jest trafne albo nietrafne w interpretacji. „Niezrozumiałe są dla mnie próby łączenia Schulza z antropologią gnozy. Wydaje mi się, że nie ma nic bardziej obcego Schulzowi niż gnostycki dualizm” [12], „Nawiasem mówiąc, nie jest to prawda” – pisze w przypisie na stronie 110, dokonując refutacji tezy Jerzego Ziomka, mówiącej, że pornografia i komizm znoszą

jako czytelnik
wymagający...

się wzajemnie (tu akurat jestem za Ziomkiem). I w innych miejscach sprawdza badaczy, czy można znaleźć w ich tekstach „mocne oparcie” dla proponowanych przez nich lektur [190]:

„Czy jednak nadawanie takiego, niemal dogmatycznego, sensu pracom, które jako sztuka po części funkcjonalna powstawały na konkretne zamówienie, nie jest przede wszystkim świadectwem osobistej pasji badacza – i prawem hermeneuty – z Lublina?” [217].

„Odczytanie Władysława Panasasa jest tak spójne, a zarazem tak hermetyczne, że polemika z nim wydaje się bardzo utrudniona. W ramach obranej przez autora metody – jeśli jest nam akurat bliska, nie sposób się z nim nie zgodzić. Inne odczytania natomiast mogą w ogóle nie odnaleźć przestrzeni do spotkania z Panasasem” [218].

Ostatecznie Orzeszek stwierdza, że takiej przestrzeni do spotkania z Panasasem nie znajduje i że „bardzo ryzykowna jest jego [Panasasa] interpretacja” [220], nieco wcześniej zaś poświęca kilka stron na mocną falsyfikację odczytania Elżbiety Neyman, wykazując – słusznie zresztą – jej „nadużycie” [189].

Więc jak to jest? Ziomek, Panas i gnostycy nie mają racji? To kto ma? Najwięcej racji ma oczywiście Rosiek, ale nie jako promotor, ale jako głęboko spokrewniony z Orzeszkiem archi-żałobnik, Ojciec Założyciel polskiej trupologii i, przede wszystkim, autor szkicu *Bio/biblio-graficznie*, w którym tak pisze o różnicy między dwoma rodzajami tożsamości: życiowej i literackiej, autentycznej i skonstruowanej: „Obraz bycia – podobnie jak ono samo – powinien być toż-samy, integralny, spoisty wewnętrznie – to znaczy: kongruentny. Nie może rozpadać się na poszczególne elementy bycia. A w każdym razie – co wynika z przyjętego tu rozumienia tożsamości – nie powinien. Nawet wówczas, gdy ten obraz ujmuje istnienie rozproszone, istnienie w stanie rozpadu powodującego cierpienie i rozpacz, która nieraz obraca się przeciwko byciu. Tożsamość jako konstrukt nie wie, czym jest cierpienie, które nieraz tak łatwo inkorporuje i którym się żywi. Jest zimna, jest nieczuła dla rozpaczających” (*Odcięcie*).

W tym cytacie odnajduję klucz do negatywnej hermeneutyki Jakuba Orzeszka, który jest po stronie rozpaczyci i czułości, po stronie „istnienia rozproszonego”, „istnienia w stanie rozpadu”, nie może więc być po stronie całościowej konstrukcji i bytu zintegrowanego, gdyż są one fałszem nałożonym na kruchą rzeczywistość. Z tego powodu szuka wśród krytyków sprzymierzeńców we wspólnej sprawie osłabiania apodyktyczności interpretacji i nie lubi, gdy ktoś taką apodyktycznością atakuje jego święty tekst. W pewnym momencie, zastanawiając się, czy można u Schulza mówić o kompleksie Edypa, Orzeszek stwierdza: „Jeśli między nią [czyli matką] a narratorem zachodzi kompleks na tle erotycznego zakazu, jest

kto ma więcej
kołdry?

negatywna
hermeneuty-
ka JO

on tak głęboko zakamufłowany, tak niesamodzielny w porównaniu z innymi Schulzowskimi motywami, że trudno byłoby go uwierzytelnić, opierając się na tekście opowiadań. Taka lektura doprowadziłaby raczej do ogólnych i bezpiecznych hipotez. Albo przeciwnie – do zawłaszczenia tekstu przez zewnętrzne wobec niego metodologie i założenia” [169].

Pozornie Orzeszek stoi tu na straży tekstualnego obiektywizmu i lektury wewnętrznej, opartej jedynie na dokładnej znajomości korpusu. To także – i tę empiryczną stronę jego warsztatu – cenię niezmiernie wysoko. Ale tak naprawdę chodzi tu i w innych miejscach o to, żeby z pola interpretacji wygnać tych, którzy chcą się n a r z u c i ć i n a c z e j, nieadekwatnie do nierozstrzygalnej natury samego tekstu.

9

W zakończeniu swojej wysoce p r o w o k a c y j n e j książki (*pro-vocare* oznacza wezwanie do zabrania głosu) Orzeszek w końcu decyduje się nazwać swoją własną strategię interpretacyjną, ale i tu stara się wyśliznąć, używając do tego celu s n u Adama Ważyka. Mówi: „rozwijam konteksty i słowa – jak bandaże”. Jak to rozumieć? Tak chyba, że teksty przez niego czytane to mumie, zabalsamowane trupy, które trzeba uwolnić z krępujących bandaży za pomocą słów. Ale co się stanie z mumią, gdy się ją ochronnych bandaży pozbawi? Rozpadnie się w proch, unicestwi, zginie. Co zostanie? Nie proch, nie okruchy materii, ale jak sam Orzeszek stwierdza, „bezcieleśna pustka” [290]. Czy warto więc w nieskończoność rozwijać te bandaże, panie Jakubie, czy warto odsłaniać słowami nieistnienie? Chciałby Pan, żebym zakończył tak jak Pan, mówiąc „kto wie?” albo „nie wiadomo!”, ale tej łatwej satysfakcji Panu nie dam. Powiem wprost: nie warto. Zbyt dużo ma Pan w sobie talentów i subtelności, by tak wczesnie dać się porwać pokusom istnienia rozproszonego. Literatura nie jest bynajmniej „prośbą o mniej” [192], ale p r o ś b ą o w i ę c e j: więcej interpretacji, więcej stanowczości, a więc i więcej istnienia. I więcej takich uważnych czytelników jak Pan.

strategia roz-
bandażowa-
nia tekstu